

Oleksandr Irwaneć

Choroba Libenkrafta

Morbus dormatorius adversus

Ponura powieść

Przełożyły

Natalia Bryżko i Natalia Zapór

Niestety nie mogło być żadnej pomyłki. Dwukrotnie dotknął powieki – plamka niczym specjalnym się nie wyróżniała. Żadnego zgrubienia, pieczenia czy swędzenia.

Otworzył lewe oko, zamknął prawe. Na prawej powiece było to samo. Mała plamka. Ledwo widoczna. Wytarł ręce w ręcznik i wilgotnymi, chłodnymi dłońmi dokładnie przetarł oczy. Przyjrzał się im ponownie, zamykając i otwierając raz lewą, raz prawą powiekę, jak gdyby sam do siebie puszczał oczka.

Plamki nie znikwały.

Pomyślał, że powinien się przestraszyć, ale nie czuł lęku. Czuł jedynie zdziwienie. Zamknął oczy i nadal wszystko widział. Przez zamknięte powieki. Miał wrażenie, że lustro na ścianie się rozjaśniło i ukazało odbicie jego twarzy, szyi, ramion jakoś nawet wyraźniej niż na jawie.

Z jego oblicza biły spokój i równowaga. W tej samej chwili przez zamknięte drzwi zobaczył sypialnię, a w niej śpiącą Lidę, która obróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę na głowę. Widział również, jak gdzieś na dole sąsiad pochylił się nad sedesem, a jeszcze głębiej i niżej, w piwnicy, szarymi, ciepłymi plamami przemknęło stadko szczurów.

Igor zamyślił się. Stał oparty rękoma o umywalkę. Nadal nie odczuwał strachu. Wróciło za to poczucie rzeczywistości. Teraz nie może już wyjść na zewnątrz. Nie wie nawet, jak zareaguje Lida. Trzeba by to jakoś ukryć. Ale jak? Zaraz, zaraz. Na półeczce obok umywalki zawsze panował nieład. Puste flakony po dawno zużytych wodach kolońskich, napoczęta paczka zeschniętego kwasu bornego, inne substancje nieznanego pochodzenia

w opakowaniach bez etykietek i pudełkach od zapalek, połamane szczoteczki do zębów, powyginane igły i spinacze, cieniutki, płaskie resztki mydeł i inne badziewie. Gdzieś wśród tego bałaganu, w głębi trzeciego czy czwartego jego kręgu, od dawien dawna poniewierało się okrągłe zagraniczne pudierko. Z okazji ślubu dostali je w prezencie od jakichś znajomych Lidy. To był prawdziwy, importowany puder. Igorowi przypomniało się, jak kiedyś, na początku ich wspólnego życia, lubił czasem otworzyć tę pudernicę, wtedy jeszcze pełną gęsto sprasowanego, różowego proszku i powąchać jego lekki, słodkawy zapach. Puder był cudowny, delikatny w dotyku i kolorze. Z góry, już w pudełeczku, przykrywał go jeszcze krążek cieniutkiej folii, również różowej, ozdobionej jakimiś kędzierzawymi wizerunkami.

Pewnego razu uświadomił sobie, że ta pudernica jest w ich domu naprawdę jedyną zagraniczną rzeczą. Pod przykrywką była kiedyś mała gąbka – różowa, porowata i równie jak puder pachnąca. Z czasem gąbka przesiąkła pudrem i skórą, której stale dotykała, a potem pomału się zeschła. Jeszcze później Igor zauważył, jak żona nakłada rzadki kosmetyk na twarz, wybierając go kawałkiem wacika. Gąbka się gdzieś zapodziała.

W końcu Lida zużyła cały puder i pojemniczek trafił między badziewie na półce tylko dlatego, że szkoda go było wyrzucić. Nadal był piękny, choć pusty. I zachował swój wcześniejszy zapach. Igor już coraz rzadziej otwierał go, żeby powdychać – jak sam to kiedyś określił w myślach – aromat „startych płatków róży”. Marynka jakoś nie chciała się nim bawić. Wolała wystrugane z drewna lalki, wśród których przeważały robotnice oraz chłopki. Tak oto pudełeczko leżało sobie i starzało się w mroku łazienkowej wnęki, a teraz nie chciało się otworzyć, bo jego brzegi nasiąkły wilgocią i zrosły się na dobre. Igor mocno pochwycił krążek, pokręcił nim na różne strony, przesuwając wreszcie połówki. Podważył jeden z brzegów paznokciem, szarpnął z całej siły i w nozdrza uderzył go zapomniany różany zapach, wciąż mocny, choć nieco przesiąknięty stęchlizną.

* * *

W teatrze okazało się, że warsztaty z ruchu scenicznego są odwołane z powodu zwołanego przez kierownictwo ponadplanowego zebrania zespołu pracowniczego, które miało odbyć się za pół godziny. Dlatego najbliższe trzydzieści minut można było spędzić w dowolny sposób i maksymalnie wykorzystać dla siebie: wyjść na dziedziniec, zapalić papierosa, a nawet wypić kawę. Wprawdzie kawa w teatralnym bufecie była tylko rozpuszczalna i bardzo lurowata, ale była to jednak kawa. Zawsze coś! Wszystkie sklepy spożywcze w mieście miewały czasem w sprzedaży wyłącznie zbożową „Rześkość” – gorzki, brązowy napój bez odrobiny nawet smaku czy zapachu kawy. A mimo to kolejki po niego bywały długie na cały sklep.

Igor wziął od bufetowej plastikowy kubeczek wielorazowego użytku, a w nim chlupiącą na wysokości jednej trzeciej, lekko spienioną, czarną ciecz, po czym, trzymając napój ostrożnie przed sobą, zszedł po schodach na dziedziniec gospodarczy. Papierosy w kieszeni trochę się wygniotły (miękką paczką, nic nie poradzisz), ale jeden z nich dał się bez trudu wyprostować, a nawet podpalić. Łyk gorzkawej cieczy i smak gorzkiego dymu spowodowały, że ulżyło trochę na duszy. Nawet zimowe niebo nad głową nieco się przejaśniło. Zdawało się, że gdzieniegdzie spomiędzy chmur widać prześwity błękitu. Do pełni szczęścia brakowało tylko Wiktora. Ten zresztą zjawił się już po kilku minutach. Tak samo jak Igor

niósł w prawej ręce kubek z kawą, a lewą wyjmował z miękkiej paczki zgniecionego papierosa.

– Dzieńdoberek! – życzliwie przywitał go przyjaciel, chrypiąc przez ściśnięte zęby, w których tkwił wyrób rodzimego przemysłu tytoniowego.

– Cześć... – burknął Igor i też zapalił papierosa, zaciągając się z całej siły.

– Coś taki niewyraźny...? – Wiktor wyczuł kiepski nastrój kumpla. – Coś się stało, czy jak?

– Epidemik w tramwaju... – Igor upił łyk kawy. – Młodziutki chłopina...

– Rozumiem – przytaknął Wiktor. – Ciężka sprawa. Chyba nigdy się nie przyzwyczaimy. A może się przyzwyczaimy, czy jak?

To powtórzone „czy jak” niespodziewanie rozżłościło Igora. Nic nie odpowiedział. Odwrócił się, strzepnął popiół i upił jeszcze łyk kawy. Tymczasem Wiktor, zrozumiałszy chyba niedorzeczność swojego pytania, zamilkł na moment i w skupieniu zaciągnął się papierosowym dymem.

– Co jeszcze słyszać, tak poza tym?

Dopiero wtedy zasępiony Igor w końcu się uśmiechnął, bo poza tym, tak ogólnie, to niby wszystko było po staremu.

– Jasne. Reszta w porządku. To chciałeś usłyszeć?

– Dobra, stary, nie denerwuj się. Wyluzuj.

– Faktycznie przydałoby się coś na wyluzowanie...

– Racja. Dobrze kombinujesz chłopie – ożywił się Wiktor. – Wiesz, dlaczego tak ochryplem? Struny głosowe zdarłem, bo tekst naczytywałem, ale za to honorarium mi zapłacili. Możemy wyskoczyć na jednego.

– Głos podkładałeś? Do czego?

– A takie tam... Jakiś filmik instruktażowy.

– Instruktaż?

– No. Jak się zachowywać, gdy się spotka epidemika. Taka jakaś dziesięciominutówka.

Igor znowu się zezłościł. No proszę! Znowu to samo! Usiłując ukryć zniecierpliwienie, jeszcze raz mocno się zaciągnął i po-

nownie pochylił nad kubkiem z kawą. Zapanował w końcu nad nerwami i zapytał:

– Dlaczego mnie nie zaprosili? Wiesz przecież, że cholernie potrzebna mi kasa...

– Ale tylko dwa głosy tam były, męski i kobiecy... No dosyć tych fochów, stary – Wiktor czuł się coraz bardziej zmieszany. – Chodźmy już na zebranie, a potem ja stawiam.

* * *

Ku zaskoczeniu Igora na zebranie przyszli wszyscy aktorzy i znaczna część administracji. Spotkanie prowadził specjalista do spraw organizacyjnych. Zwoływanie zebrań pod nieobecność sekretarza do spraw ideologicznych należało do jego obowiązków. Prowadzący zamiast na scenie stał w przejściu przy pierwszym rzędzie. Zaczął charakterystycznym wysokim głosem odczytywać listę pracowników, ale nie przejmował się zbyt, czy obecni na sali odpowiadają na wywołane nazwiska. Po skończeniu tej wylizanki specorganizator wepchnął pod pachę listę z nazwiskami, skrzyżował ręce na piersi i zaczął mówić:

– Towarzysze... Czy raczej... – właściwie nie wiem, jak się teraz do was zwracać... Tak czy owak, musimy z wami porozmawiać o pewnej sprawie... Jak już zapewne wiecie, w naszym kraju... a w szczególności w naszym mieście nadal trwa... to jest nadal rozwija się... epidemia. Dlatego musimy być bardzo ostrożni. Właśnie ten temat przedstawi nam dziś ekspertka do spraw ochrony medycznej. Zapraszamy tutaj!

Po tych słowach z pierwszego rzędu widowni wstała niepozorna, drobna kobieta. Odchrząknęła lekko, przedstawiła się jako lekarz epidemiolog taka-to-a-taka. Jej nazwisko natychmiast wyleciało Igorowi z głowy. Następnie zaczęła monotonicznie przeżuwać znane wszystkim już od dawna fakty i powtarzać jakieś komunały:

– Pewnie wszyscy już wiedzą, że czasem można spotkać na ulicy chorego człowieka. Pierwszy objaw, który wyróżnia chorych,

to czerwone, okrągłe plamki na powiekach. Widać je wtedy, gdy chory mruga albo zamyka oczy. Medycyna nazywa to chorobą Libenkrafta, w terminologii naukowej *Morbus dormatorius adversus*. Schorzenie jako pierwszy opisał niejaki Salomon Libenkraft... który był... hm... chyba kierownikiem punktu felczerskiego, a może był tam lekarzem. Zresztą, nie ma to większego znaczenia, bo wyjechał, jak się zdaje, i teraz przebywa gdzieś za granicą.

Na widowni rozległ się tłumiony, nerwowy śmiech. Drobną pani doktor trochę speszona po chwili uspokoiła się i kontynuowała wykład:

– Ta choroba... choroba Libenkrafta... jest na razie słabo zbadana. Niestety... Nie wiemy nawet, jaką drogą się przenosi. Dlatego właśnie ta infekcja jest bardzo, ale to bardzo niebezpieczna! To naprawdę duży problem...!

Igor odwrócił wzrok i spróbował skupić myśli na czymś innym, ale scena z tramwaju znowu stanęła mu przed oczami tak żywo, że aż zadrżał. W tym samym czasie dotarł do niego szept Wiktora, który zwracał się do kogoś za jego plecami:

– Nie wiadomo jeszcze, czy ten Libenkraft przypadkiem sam nie wpuścił zarazy między ludzi... Po kimś takim wszystkiego można się spodziewać... – tu znowu dopadła go chrypa i zakaszłał.

Lekarka tymczasem ciągnęła dalej:

– Dlatego właśnie, w razie kontaktu z zakażonymi, wszyscy musimy być bardzo ostrożni. W żadnym wypadku nie wolno ich dotykać, w szczególności odsłoniętymi częściami ciała, dłońmi i tak dalej. Najlepiej w ogóle unikać jakiegokolwiek kontaktu. Po prostu odejść jak najdalej...

– No pewnie! I niech się zaraza szerzy – tym razem w innym głosie z głębi sali zabrzmiała wyraźna dezaprobata.

– Nie, nie, no skądże... – lekarka straciła nieco pewność siebie. – Do walki z chorobą zmobilizowaliśmy nasze najlepsze siły. Pracownicy służby zdrowia prowadzą prace profilaktyczne na terenie prawie całego kraju... I my wszyscy... wszyscy... Zresztą, nasza medycyna na pewno znajdzie sposoby leczenia nowego schorzenia.

– Rewelacja! To znaczy, że teraz wcale tego choróbka leczyć nie potrafią? – tym razem pytanie z widowni było już ewidentnie zaczepne.

Igor odwrócił się. Złośliwcem okazał się jeden z technicznych pracowników obsługi sceny – przysadzisty, ciemnowłosy jegomość, który do pracy przychodził wiecznie podпиты i lubił się awanturować z powodu każdego, najmniejszego nawet drobiazgu.

– Nie potrafią leczyć, wszyscy przecież o tym wiedzą.

Drobniutka lekarka zrobiła się jakby jeszcze mniejsza, spuściła wzrok i wymamrotała coś absolutnie niezrozumiałego. Tym razem specorganizator pospieszył jej z pomocą:

– Zaraz, zaraz! Nie wyciągajcie pochopnych wniosków – mówił głośno, lecz niezbyt pewnie i widać było, że zdenerwowanie lekarki udzieliło się również jemu. – Myślę, że tak naprawdę to nie taki diabeł straszny, jak go malują. Przecież wiemy, co należy robić – tu kierownik zerknął na lekarkę. – Myć dokładnie ręce, przestrzegać zasad higieny, tak czy nie?

Pani doktor przytaknęła, kiwając głową, a po sali rozległ się głośny i całkiem już nieskrępowany śmiech.

– I jeszcze zęby trza myć i witaminy brać – wychrypiął z tyłu Wiktor. – I odżywiać się regularnie i kalorycznie...!

Rozległo się skrzypienie krzeseł. Aktorzy i współpracownicy podnosili się i na ostatek wysyłali malutkiej lekarce prześmiewcze, nieprzyjazne spojrzenia.

To jednak jeszcze nie był koniec spotkania. Specorganizator podziękował lekarce, znowu wyjął spod pachy spis kolektywu i poprosił dziesięć osób o pozostanie na sali. Wśród wymienionych nazwisk Igor usłyszał również swoje. Wiktor wstał i oparty o sąsiednie krzesło szeptem wychrypiął za plecami kolegi:

– Będę czekać w gharrderobie.

Książka dostępna w księgarni

